Świat powieściowy.

Nr. 152 **Tygodnik belletrystyczny.** Rok III.

Zaklęty i Odczarowany

(Ciąg dalszy.)

XV.

W leśniczówce, położonej jak wiemy, w środku borów do Felseneck należących, panował ruch niezwykły; spodziewano się bowiem dnia tego odwidzin samego barona Rajmunda. Nie był to już wprawdzie wypadek tak nadzwyczajny, jak przed kilkoma miesiącami, gdyż odkąd ordynat zamieszkał w Werdenfels, był coraz więcej widzialnym i coraz częściej przypuszczał do siebie oficjalistów, pierwszy raz jednak zdecydował się sam do jednego z nich potrudzić.

Powód do tego był całkiem naturalny. Leśniczówka złożoną była z budynków starych, zmorszałych, które tej zimy szczególniej, ucierpiawszy wiele od wichrów i śniegu nawałów, groziły niemal zawaleniem. Na prośbę pisemną leśniczego, baron Rajmund polecił rządcy głównemu, aby sprowadził z miasta budowniczego i wziął się z nim natychmiast do opatrzenia leśniczówki i obrachowania kosztów. Nagle atoli powziął myśl zbadać wszystko na miejscu osobiście, i w tym celu zapowiedział na dzień dzisiejszy swoje odwidziny.

I panna Emma znalazła się przypadkowo u swoich rodziców, w tym czasie właśnie. Przyjechała wczoraj wieczorem, aby dni kilka u nich zabawić, a z nią przybyła również na dzień jeden pani Hertenstein, co było dla dwojga poczciwych staruszków niesłychaną i najmilszą niespodzianką. Lily często odwidzała gościnną leśniczówkę, razem z panną Emmą, Anna atoli nie odważyła się dotąd przestąpić tejże progów, jak wogóle nie ryzykowała się nigdy w granice Felseneck, chyba, jak wówczas, gdy ją konająca Mattowa do siebie gwałtem wezwała. Dziś po objedzie miała nieodwołalnie wrócić do domu.

Ordynata oczekiwano około południa, bo miał przedtem być w zamku Felseneck. Leśniczy z leśną strażą całą w strojach odświętnych, czekał na granicy lasu od godziny; pani i panna Hofer, na dole w salce jadalnej, drżały z niecierpliwości, żeby zobaczyć jak najprędzej bohatera sławnego tylu legend i podań bajecznych. Znały go wprawdzie obie od lat dziecięcych, i dawniej codzień niemal widywały, ale wtedy nie była go jeszcze zaczarowała „Dziewica z lodu.“ Teraz był więc zjawiskiem zupełnie nowem, nadzwyczaj ciekawem!

Na piąterku, w pokoiku dla gości przeznaczonym, stała Anna wsparta na oknie, sama jedna, pogrążona w bolesnej zadumie, z wzrokiem niespokojnym, badając drogę przez las śniegiem zasutą, która do leśniczówki prowadziła. Niepokój i bladość młodej kobiety zdradzały, iż może nie całkiem „przypadkowo“ tu się znajduje. Na chwilę od okna odstąpiła, przemierzając krokiem szybkim izdebkę, i znowu na dawne miejsce wróciła, w las zapatrzona.

Nie widziała Rajmunda od owego spotkania przypadkowego w górach. Dotąd stał jej przed oczami, z obliczem bladem, znużonem, wynędzniałem, z źrenicą zamgloną, z wyrazem ponurej apatji i głębokiej melancholji w rysach zwiędłych przedwcześnie, przygarbiony jak człowiek uginający się pod lat ciężarem, lub co gorsza, złamany losu przekornego pociskami.— Czasem coś jeszcze błysnęło w tej twarzy zamarłej, w chwili najwyższego rozdrażnienia, prędko jednak gasła iskra przelotna, a twarz robiła się martwą, zimną, jak u człowieka, który żyjąc fizycznie, uważa się moralnie za umarłego. Jak musi teraz dopiero wyglądać, po kilku miesiącach walki zaciętej, bezustannej, która musiałaby znużyć i wyczerpać siły młode i świeże!

Odezwały się wreszcie dzwonki, roznoszące echo po lesie, i wkrótce sanki przed domem stanęły. Dzień był nadzwyczaj wietrzny i mroźny, Rajmund jednak miał tylko krótkie, czarne futerko z czarnego *Skongo* na sobie, podczas gdy Paweł był cały w ogromne niedźwiedzie okutany. Wysiadł pierwszy i ramię wyciągnął aby pomódz stryjowi, ten atoli jak by tego nie uważał, sam raźnie z sanek wyskoczył, zdradzając w każdym ruchu sprężystość młodzieńczą. Zdawało się również, iż potrafił pokonać w sobie bojaźń pewną i wstręt do ludzi, gdyż nawet czoła nie zmarszczył na widok tak licznej straży z leśniczym na czele, i wychylających się z sieni postaci matki i córki, z niskiemi do samej ziemi dygami. Spokojnie, bez dumy, ale z powagą wielkopańską, przyjmował uniżone powitania i komplimenta, a gdy nawzajem przemówił do leśniczego, widocznem było tak w głosie, jak w postawie, iż go zupełnie opuściła dawna bezwładność apatyczna. Mówił głośno, wyraźnie, trzymał się dziarsko

wyprostowany jak świeca, o pół głowy przenosząc wzrostem smukłą jak topola postać Pawła.

Anna schowana za firankę, śledziła bacznie każdy ruch ordynata. I ją uderzyła na pierwszy rzut oka zmiana w nim zaszła. — Cóż się stało? Czyżby Rajmund zamiast uledz w walce, czerpał w niej właśnie siły świeże, odnajdywał dawną energję? Tak się zdawało przynajmniej.

Leśniczy oprowadzał obu panów po całym domu. Zaczęli od dołu oględziny, wreszcie zabrzmiał głos ordynata tuż pod drzwiami pokoju gościnnego na piętrze:

— Nie panie Hofer, o reperacji mowy być nie może, dom wali się po prostu. Zostaniecie tu tymczasem, póki wam nie wystawią nowych budynków, trochę niżej i więcej do południa. Wtedy tę ruderę każę całkiem rozebrać. Budowniczy niech się spieszy z planem i obrachunkiem; chciałbym, żeby się jak najspieszniej wzięto do roboty.

Leśniczy nie wiedział jak wdzięczność swoją okazać, Rajmund atoli, mało zważając na potok słów dziękczynnych, spozierał bacznie na drzwi, wychodzące z dwóch stron na korytarz. Nagle otworzono te, które były po prawej stronie i Anna ukazała się na progu.

Paweł o krok się cofnął niemal z przestrachem, jak przed zjawiskiem nadprzyrodzonem, bo istonie, kogo najmniej zastać się tu spodziewał, to panią Hertenstein. Rajmund natomiast nie zdawał się bynajmniej zdziwiony tem spotkaniem. Skłonił się i rzekł tonem lodowatym:

— Możeśmy pani w czem przeszkodzili?

— Jestem tu gościem, na kilka godzin tylko — odpowiedziała Anna w tym samym tonie, lekko głową skinąwszy — słyszałam atoli, że pan baron życzył sobie dom cały oglądnąć. Nie chciałabym moją obecnością przeszkadzać w czemkolwiek, proszę zatem wejść i do tego pokoju, który chwilowo zamieszkuję.

Cofnęła się w głąb, aby przejście wolne zostawić. Uderzyło to Pawła niesłychanie, a jeszcze więcej się zdziwił, gdy z drugiej strony propozycję przyjęto. Cóż mogło zależeć komu na tem piąterku, skoro mieli znieść cały budynek? Rajmund widocznie zdania tego nie podzielał, gdyż wszedł do środka, od progu zwracając się ku swojemu towarzyszowi.

— Inne budynki nie są zapewne w lepszym stanie od domu mieszkalnego — przemówił. — Chciej Pawle takowe obejrzeć. Hofer cię wszędzie oprowadzi, a ja na twój sąd spuszczam się zupełnie.

Paweł zawahał się i dziwne podejrzenie zrodziło się w jego umyśle. Zwolna przeniósł wzrok badawczy z ordynata na panią Hertenstein, nic jednak nie wyczytał, tak w jej pięknych źrenicach, jak i w rysach posągowych Rajmunda.

— Jeżeli życzysz sobie tego... — bąknął po chwili. A ty zapewne... tutaj zostaniesz?

— Nie inaczej! — Rajmund odparł krótko i energicznie, jak to było u niego w zwyczaju.

Usta Pawła wydęły się z odcieniem niechęci, i zagrał na nich uśmiech ironiczny, gdy leśniczy drzwi przymknął dyskretnie od pokoju, do którego weszli Anna i Rajmund. Gdy już był na dole, stanął nagle i spytał leśniczego półgłosem:

— Odkąd bawi u was pani Hertenstein?

— Od wczoraj — brzmiała odpowiedź leśniczego, który w niewinności ducha niczego się niedomyślał. — Byliśmy niezmiernie uradowani, że jaśnie wielmożna pani prezydentowa, była tym razem na tyle łaskawą towarzyszyć naszej córce.

— Więc po raz pierwszy odwidza leśniczówkę?... Jakże długo myśli tu zabawić?

— Z żalem wielkim musimy ją jeszcze dziś po obiedzie pożegnać, gdyż musi wracać do domu w pilnym interesie.

— W rzeczy samej, nader krótkie odwidziny, na taką przestrzeń daleką i w tak przykrej porze!... Pani Hertenstein, ma się rozumieć, nie wiedziała o zamiarze stryja mojego i chęci oglądania dziś właśnie leśniczówki?

— Ani pół słóweczka! Ja sam dopiero wczoraj wieczór rozkaz otrzymałem, gdy już pani prezydentowa do nas przybyła. Domyślając się coś podobnego, byłaby z pewnością na inny dzień odłożyła swoją wizytę.

— Prawdopodobnie! — mruknął Paweł dziwnym tonem. — Chodźmyż oglądać resztę budynków!

Leśniczy spełniał sumiennie rozkaz wydany, nie mógł się jednak dość nadziwić w głębi duszy, jak młody baron zmienił się nagle, osołowiał, wywodów staruszka o tym lub owym budynku słuchał pół uchem, z widocznem roztargnieniem, zaledwie okiem rzucił od niechcenia tu i ówdzie, skracając o ile możności oględziny, jakby coś nader pilnego nań czekało.

Tamci dwoje byli więc sami w pokoju. Rajmund stał przed młodą kobietą zimny i sztywny, spytał wreszcie tonem lekko ironicznym:

— Po coś mnie tu Anno sprowadziła?

— Chciałam.... muszę rozmówić się z tobą bez świadków! — rzekła cicho, głosem drżącym. — Bilet mój odebrałeś?

— Te trzy wiersze, oznaczające leśniczówkę jako punkt zborny?... odebrałem.

— Nie miałam innego miejsca do wyboru... Pojmiesz przecie, iż nie mogłam wezwać cię do Rosenberg.

— Dla czego nie? Dla tego zapewne, że Jerzy Wilmut nigdy by ci czegoś podobnego nie przebaczył?

— Czy sądzisz, iż jestem tak niewolniczo posłuszną jego woli?

— Wierzę święcie, iż we wszystkiem, co się mnie tyczy, idziesz ślepo za jego rozkazem. Miałem na to aż za wiele dowodów!

Anna umilkła. Musiała odczuć prawdę zawartą w tym gorzkim wyrzucie. Wzrok jej spoczął na postaci Rajmunda, i teraz dopiero, gdy go tak z bliska

zobaczyła, uderzyła ją zmiana nadzwyczajna, która w nim zaszła.

Twarz była wprawdzie dotąd trochę bladą, i w rysach był wyraz smętny, prawie ponury, oczy jednak blasku nabrały, patrzyły z dawną śmiałością i energją, zniknęła z twarzy owa martwość, owo znużenie i śmiertelna dla świata całego obojętność. Czasem jeszcze piękne, ciemne źrenice, niby mgłą zachodziły, czasem zapadał w głębokie zamyślenie, prędko jednak otrząsał się z tych dumań chorobliwych, jak człowiek, który budzi się gwałtem ze snu letargicznego, choćby na to tylko, aby boleć i walczyć, aby poić się goryczą, byle za jakąbądź cenę zacząć żyć na nowo.

— Stawiłem się jak widzisz na twoje wezwanie.... cóż mi chcesz powiedzieć?

— Mam do ciebie wielką prośbę! — mówiła szybko, głosem stłumionym, jakby jej tchu brakowało. — Lękałam się, iż list nie wystarczy aby cię ubłagać.. dla tego sama przybyłam... Opuść Werdenfels!

Rajmund widocznie najmniej podobnego wezwania oczekiwał, ani chwili się jednak nie zawahawszy, rzekł tonem ostrym i stanowczym:

— Przenigdy!

— Ależ życie twoje jest zagrożone! — Anna nastawała coraz usilniej. — Dotąd zasadzki się nie udawały, jeżeli byś jednak dalej wystawiał się na ciosy z ukrycia spadające, mogliby w końcu zbrodniarze cel osiągnąć. Wróć do Felseneck, wyjedź za granicę, gdzie chcesz zresztą, byleś opuścił Werdenfels!

— Aby znowu jako tchórz nikczemny zasłużyć na pogardę? Nie! tym razem zostanę i walczyć będę do tchu ostatniego! Nie ze strachu dałem raz pierwszy za wygranę, usuwając się z placu boju... ty o tem wiesz najlepiej! Dziś nie mam nic do zyskania, ale i stracić nie mogę nic więcej, jak chyba jedno życie... a ta strata zaiste, nie wiele na szali zaciąży!

— Skoro ja cię jednak o to błagam Rajmundzie! Czyż i mojego głosu, mojej prośby gorącej nie usłuchasz? Wezwałam cię, bo nie mogłam przypuścić, żeby aż coś takiego, przy zetknięciu z ludem tutejszym, tobie zagrażało! Liczyłam na możność pojednania się z nimi, spodziewałam się przynajmniej walki otwartej! Teraz zaklinam cię na wszystko, uchodź przed ciosami skrytobójców, którzy czyhają na ciebie, śledząc podstępnie krok twój każdy! Dla czegoż narażasz się bezustannie na ślepą, zabobonną nienawiść tych łotrów, którzy póty nie spoczną, póki nie padniesz ich dzikiej zemsty ofiarą!

Była to prośba gorąca, namiętna, w której czuło głos serca trwogą przejętego, słowa jej atoli odbijały się od piersi Rajmunda, pełnej goryczy, niby od zimnego, stalowego puklerza.

— A choćbym i uległ! — uśmiechnął się boleśnie — kogoż to obchodzi? Wilmut i jego wierni parafianie będą w tem widzieli palec boży i sprawiedliwe spełnienie wyroku na winowajcy. Paweł zostanie po mojej śmierci panem na Werdenfelsie. Zdaje mi się, iż szczerze przywiązał się do mnie, ale tak znaczny spadek wkrótce żal jego uśmierzy!... Ty zaś... także lżej odetchniesz, gdy wraz z mojem życiem zgaśnie i pamięć przeszłości, która musi z często występywać z ukrycia, i dręczyć cię jak srogi wyrzut własnego sumienia!

— Rajmundzie!

W wykrzykniku namiętnym czuć było ból i gniew jednocześnie. Rajmund zatrzymał się, a po chwili przemówił tonem mniej ostrym, głosem drżącym:

— A może byś po mnie płakała... możebyś istotnie znalazła jeszcze w sercu łzę współczucia dla martwych zwłok moich?

Podniosła oczy na niego, a łzy rzęsiste, zwolna po twarzy spływające, były najwymowniejszą na pytanie odpowiedzią.

— Skoro tobie samemu zupełnie nic na życiu nie zależy, to pomyśl o mnie, i mojej trwodze śmiertelnej! Oszczędzaj to życie przez wzgląd dla mnie!

Twarz blada barona Werdenfelsa spłonęła lekkim rumieńcem, w oczach błysnął promień szczęścia, promień nadziei, niby odblask ułud lat młodocianych; szybko naprzód postąpił, jakby chciał w lot pochwycić to łzawe spojrzenie, te słowa pełne znaczenia.

— Dla ciebie Anno?! Jesteś-że tak pewną władzy twojej nademną? A ty nie wiesz nawet, czem byłaś dla mnie! Jedynym słońca promieniem, w życiu całem jak noc ponurem, pełnem zawodów i zwątpień rozpaczliwych! Jedyną gwiazdką szczęścia, która zgasła i rozwiała się w nicość jak sen uroczy, w chwili, gdy byłem pewny, że to szczęście na zawsze do łona przycisnę! Myślałem, że gorycz i żal pochłoną to uczucie, a jednak nie opuściło mnię przez lat tyle samotności, i ono jedno przy życiu mnie zatrzymało. I tyś go z serca wyrzucić całkiem nie potrafiła... i ty o przeszłości nie zapomniałaś... Anno! czyż sen musi snem pozostać?... Czy nie wolno mu nigdy więcej przemienić się w rzeczywistość?!

W słowach tych odezwał się dźwięk dobrze Annie znany, przebrzmiały od dawna, ale niezapomniany! Takim tonem czułym, namiętnym, przemawiał niegdyś do ukochanej, i tym samym ogniem promieniały piękne jego oczy, gdy starał się miłość Anny pozyskać. Od dziecka wpajano jej zasady, iż życie to bojowanie, to łańcuch nieprzerwany twardych i ciężkich obowiązków. Po raz pierwszy głos Rajmunda niebo jej otwierał, otoczył ją blaskiem szczęścia niepojętego. Sen złoty przemknął wprawdzie jak błyskawica, takie jednak wspomnienie urocze w jej sercu zostawił, iż dumna i na pozór zimna kobieta i teraz czarowi owemu oprzeć się nie mogła. Upajała się dźwiękiem słów jego, nie mając ani sił ani chęci po temu, żeby wrócić na razie do trzeźwej, nieubłaganej rzeczywistości.

Rajmund nad nią się pochylił i ujął za rękę, aby ją w swojej dłoni przytrzymać. Tem dotknięciem zerwał czar, który jej chwilowo przytomność niemal odbierał. Drgnęła, jak gdyby dłonie jego były żelazem

rozpalonem i wyrwała mu rękę, w tył się cofając z wyrazem trwogi i wstrętu, aż nadto jasno uczucia jej zdradzającym.

Ordynat zbladł śmiertelnie, ogień zgasł w źrenicach, a rysy na nowo skamieniały, jakby nagle życie wszelkie z nich uciekło.

— Masz słuszność! — rzekł głucho. — Zapomniałem co nas rozdzieliło!...

Młoda kobieta teraz dopiero zdawała się pojmować, jak bolesną zniewagą był jej ruch mimowolny.

— Przebacz! — cicho przemówiła. — Nie chciałam cię dotknąć... stało się to bezwiednie... bez mojej woli....

— Żeś mnie odtrąciła?... Zapewne! Ruch był mimowolny i dla tego była w nim prawda szczera! Wiem już dosyć... nie wygrzebujmy przeszłości z popiołów... nie wywołujmy widma z grobu!

Starała się odzyskać równowagę i zapanować siłą, woli nad ogarniającem ją wzruszeniem. Udało jej się to poniekąd i po chwili przemówiła tonem o wiele spokojniejszym:

— Bądź szczerym ze mną Rajmundzie! Co zawierał ów list, któryś wysłał po ostatniem twojem ze mną widzeniu? Nie chcesz zdradzić treści jego, a przecież czuję instynktowo, iż w nim było jakieś wyjaśnienie, coś na twoją obronę. Byłam może wobec ciebie niesprawiedliwą, może nadto skwapliwie uwierzyłam nieszczęsnym pozorom. Powiedz mi całą prawdę!... Nie zadrżę przed nią, bądź spokojny!

Teraz ona dłoń do niego wyciągnęła, ale nie ruszył się z miejsca, nie podniósł ręki, tylko patrzył na nią wzrokiem szklannym, obumarłym.

— Za późno! Za nadto dobitnie, choć bez słów, zdradziłaś się z swojemi dla mnie uczuciami, abym mógł się łudzić... gdybyś ty nawet siebie łudzić chciała. Podała byś mi może dłoń twoją, gdybyś o wszystkiem wiedzieć mogła, odczuwałbym jednak w każdym twoim uśmiechu, w każdym uścisku wstręt i zgrozę, którą byś tylko siłą woli pokonywała, a to by dla mnie było gorszem piekłem, niż ta cała nienawiść ludzka, znoszona od lat tylu! Nie chciałaś mnie wtedy wysłuchać, gdy nie było tak wielkiej ofiary, którejbyłbym nie poniósł, aby tylko otrzymać od ciebie listu odczytanie... nie ruszyłaś ręką nawet, gdy spowiedź moją bolesną Wilmut skazywał na całopalenie... Niechże więc zostanie pogrzebaną!

Wymówka trafiła do celu. Anna w poczuciu winy głowę spuściła, nie próbując więcej skłonić go do odkrycia tajemnicy. Widząc atoli, iż ku drzwiom się zwraca, spytała raz jeszcze w trwodze śmiertelnej:

— Nie wyjedziesz zatem z Werdenfels?

— Nie! Wezwałaś mnie na plac boju, nie opuszczę stanowiska, póki walka nie będzie skończoną. Może Wilmut całą ludność przeciw mnie podburzyć, mogą dopuścić się zbrodni najgorszych, nie cofnę się, nie ustąpię ani krok jeden, możesz mi wierzyć!

Wyszedł, drzwi za sobą przymykając. Nie był to bynajmniej ów „marzyciel chorobliwy,“ którym ojciec własny pogardzał, na którego ksiądz Jerzy z politowaniem z góry spoglądał, ów odludek, wystrzegający się starannie zetknięcia ze światem i żyjącemi na nim istotami. Te słowa: „Na krok nie ustąpię! Możesz mi wierzyć!“ brzmiały groźnie niby surma bojowa, świadcząc, iż człowiek, który je wymówił, nauczył się żyć i zwalczać choćby najwyższe przeciwności.

Anna dotąd z miejsca się nie ruszyła, z wzrokiem w posadzkę utkwionym. Nadaremnym więc był krok, na który zdecydowała się po długiej i przykrej walce wewnętrznej. Rajmund zostaje i niebezpieczeństwo grożące trwa dalej. Wobec trwogi przejmującej jej serce na tę myśl złowrogą, zamilkły wszelkie inne uczucia. Udało jej się powołać nazad do życia wygnańca wyklętego, ale za jak wielką cenę!

Drzwi ponownie się otwarły, a na progu Paweł zjawił się tym razem. W ukłonie jego, jak i w całym nastroju, była dziwna sztywność i oziębienie.

— Stryj mój odjeżdża... chciałem panią pożegnać.

Anna wzrok od ziemi podniosła i jakby nagle jasno jej się w głowie i w sercu zrobiło, pospieszyła naprzeciw, ruchem uprzejmym zapraszając młodzieńca do środka.

— Panie baronie! Chciej wejść na chwilkę, na słóweczko tylko!

Paweł usłuchał wezwania, okiem badawczem i niespokojnem śledząc dziwną bladość i drganie kurczowe w rysach młodej kobiety.

— Byłam niedawno świadkiem mimowolnym pańskiej rozmowy z moim kuzynem Wilmutem — zaczęła. — Wspomniałeś wtedy panie baronie o zamiarze nieodstępywania od boku stryja, wobec grożącego mu niebezpieczeństwa. Wszak dotrzymasz pan słowa, nieprawdaż?...

— Z wszelką pewnością! Co do tego bądź pani zupełnie spokojną!

Anna czuła zimno z słów tych wiejące, nie zrażona tem jednak mówiła dalej:

— Ordynat potrzebuje teraz wielce przyjaciela, a raczej obrońcę wiernego. Zna on grożące mu niebezpieczeństwo w całej jego grozie, a jednak upiera się na pobyt w Werdenfels, i nie chce nawet przedsięwziąć żadnych środków ostrożności.

— Czy sam to pani powiedział? — spytał Paweł tonem zjadliwej ironji, mimo, iż starał się opanować burzę sercem miotającą. — Zauważyłem, iż życzyliście sobie państwo oboje rozmowy w cztery oczy.

— Panie Pawle! — młoda kobieta i tę wymówkę dotkliwą zbyła milczeniem, a głos jej drżał łzami stłumionemi i prośbą rzewną. — Kochałeś mnię, pragnąłeś mojej ręki, a chociaż myślę, iż miłość ta była raczej płodem pańskiej bujnej fantazji, nie zaś serca szczerem i głębokiem uczuciem, wiem jednak, że wymagam rzeczy ciężkich do spełnienia. Gdy atoli wystąpiłeś tak śmiało i energicznie wobec mojego kuzyna, poznałam się na twojej wartości, i to mnie skło-

niło do prośby, którą do ciebie zanoszę. Nie opuszczaj zatem ani na krok Rajmunda, gdyż lękam się, iż z coraz większą gwałtownością będą na niego teraz napadali. Czuwaj pan nad nim, zasłaniaj go przed mordercami, o ile to jest w twojej mocy!

Milczenie zapanowało.

Paweł zbladł i szukał daremnie odpowiedzi stosownej, wreszcie zapytał:

— Pani znałaś dawniej stryja mojego?...

— Znałam... — brzmiała cicha odpowiedź.

— I... i... był ci drogim i bliskim?...

— Tak jest!...

Blade usta młodzieńca bolem serdecznym zadrgały.

— Teraz pojmuję, dla czego mnie spotkała odprawa!..

— Baronie!...

— O! nie dziwię się temu bynajmniej, ani nie mam o to żalu do pani. W tych ostatnich kilku miesiącach poznałem o tyle Rajmunda, iż wyznać muszę otwarcie, że mimo usposobienia ponurego, dziwactw rozmaitych, wynikłych z długoletniej samotności i zamknięcia w sobie, osobistość jego otacza urok dziwny, czar niepojęty, którym ja się pochwalić nie mogę. Jest w nim jakaś siła magnetyczna, której nikt oprzeć się nie może, o ileż więcej musiał pociągać i przykuwać serca, gdy był pełen życia, pełen marzeń o szczęściu!

Anna głową potrząsła przecząco.

— Szczęśliwym w całem tego słowa znaczeniu nie był właściwie nigdy, nawet i wtedy nie, kiedym ja go znała, a życie, do którego wrócił niestety, przedstawiało mu się zawsze równie ciężkiem, równie najeżonem troskami i przeciwnościami. Panie Pawle! Tobie oddaję Rajmunda! Strzeż go i czuwaj nad nim!

— Tak uczynię — rzekł Paweł uroczyście. — Na krok od niego nie odstąpię, czuwając o ile to w mojej mocy nad jego życiem!

— Dzięki! Dzięki stokrotne!...

Podziękowanie płynęło w rzeczy samej z głębi serca, i Paweł po raz pierwszy odczuł w tonie młodej kobiety, zwykle tak ostrym i lodowatym, dźwięk trwogi śmiertelnej i rzewnej tkliwości, która tyczyła się innego. Nie będąc zdolnym słowa wymówić, skłonił się, rękę ku niemu wyciągniętą całując z najwyższem uszanowaniem.

Mimo, iż obecnie zaczął był leczyć się potrochu z miłości dla Anny, widząc tejże bezowocność w tej chwili, uczuł w całej pełni jaki skarb utracił, a ból srogi na nowo za serce go ścisnął. W oku niby łza się kręciła, gdy wychodził z pokoju, w którym zostawiał uroczy, choć nie spełniony sen pierwszej miłości młodocianej.

Za chwilę sanki zadzwoniły pod oknami, uwożąc obu baronów, a nie długo po nich wybrała się i pani Hertenstein z powrotem do Rosenberg. Mieszkańcy leśniczówki dotąd atoli nie domyślili się, iż to była schadzka umówiona, nie zaś zjechanie się przypadkowe.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JULIUSZ DONNÉ.

(Ciąg dalszy).

III.

Od dwóch tygodni Zuzanna opuściła Paryż, a Juliusz zgnębiony moralnie jej odjazdem, wysyłał list po liście, pełen gorących, namiętnych wyznań. Nadaremne jednak były jego usiłowania, bo Zuzanna upornie milczała. Zrozpaczony prawie, nierozumiejąc, czemu milczenie to przypisać można, odczytywał przynajmniej dawne jej listy, pojąc się roskoszą zawartej w nich miłości.

Gdy tak pewnego poranku, po raz setny już może list jakiś odczytywał, służący przyniósł mu pocztę. List od pani Valmor znajdował się na wierzchu. Rzucił się nań łapczywie, jak na skarb dawno utracony, lecz w miarę jak czytał, twarz jego bladła, wyraz boleści rozpostarł się na jego licu, a w końcu rzucił się na fotel prawie bezwładnie i list wypadł mu z ręki. Rysy jego były tak niewypowiedzianie zmienione, że gdy w parę godzin później pan Donné wszedł do niego, ujrzawszy syna cofnął się przerażony, lecz Juliusz nie zważał na obecność ojca i nie widział nawet, jak ten podniósł list i przeczytał co następuje:

„Mój najdroższy Juliuszu!

„Nie wiem doprawdy jak cię przeprosić na wstępie za treść listu tego, lecz wierzaj, że nad wyraz ciężko mi przychodzi wyznać ci całą prawdę, która, przypuszczam, do głębi zrani twe kochające i przywiązane serce.

„Nie mogę jednak dłużej przed tobą taić, że wzruszenie, jakiego doznałam, gdy mi wyjawiłeś swą miłość, które ja chwilowo za wzajemność brałam, było jedynie błogiem zadowoleniem, jakiego mniej więcej każda doznaje kobieta, na wiadomość, że jest kochaną. Moje położenie wyjątkowe, pozbawione wszystkiego, co by do życia wiązać mogło, później urok takiego gorącego przywiązania jak twoje, sprawiły, iż z roskoszą przysłuchiwałam się brzmieniu każdego twego słowa, tchnącego miłością, której nie wątpiłam, że odpowiedzieć będę zdolną. Teraz zastanowiłam się nad tem spokojniej, i czuję, że prócz nieokreślonej wdzięczności, jaką czuję za twe przywiązanie, prócz szacunku najgłębszego, jaki mieć muszę dla tak wzniosłej i szlachetnej jak twoja duszy, jedynie siostrzane mam dla ciebie uczucia, które nigdy nie pozwolą mi przyjąć ofiary całego życia twego. Dla dokładnego wypróbowania natury uczuć moich, stałam się w myśli wolną od teraźniejszych mych małżeńskich więzów, lecz przekonałam się, że i wtedy, tę samą co i dziś, a nie inną, niewdzięczną pozornie i okrutną dałabym ci odpowiedź.

„Z tem przekonaniem postanowiłam cię pożegnać mój najlepszy i najdroższy przyjacielu, w nadziei, że gdy za parę miesięcy ochłoniesz z pierwszego wrażenia i gdy twe serce wdzięczniejszy znajdzie przedmiot miłości, wtedy nie pogardzisz może szczerą przyjaźnią i gorącem sercem prawdziwej siostry, która niezmienną dla ciebie zostanie. Zuzanna.“

Cały ten list przechodził o wiele pojęcia pana Donné, jedna w nim rzecz tylko dla niego była wyraźna i jasna, że pani Valmor nie kochała miłością namiętną tego miłego, pięknego Juliusza, godnego najgorętszych uczuć. Duma ojcowska była też nad wyraz podrażnioną. Czuł może chwilowo więcej od syna doznaną zniewagę, lecz myśl, że Juliusz zemścić się potrafi i okazując chociaż kłamaną obojętność, ożeni się prędzej, uspokoiła go bardzo. Nie rozumiał tylko, jak tak sprytny człowiek jak Juliusz, mógł się nie poznać na rodzaju uczuć pani Valmor i wtedy jak błyskawica przemknęła mu myśl, że ona go zrozumiała, i poświęcając się, według jego woli zostawiła wolną drogę Juliuszowi! Rozczulony tym heroizmem, zmartwiony niemą boleścią syna, chciał wyznać mu wszystko, lecz czyż nie było to szaleństwem, w chwili, gdy tak niespodziewanie otwierała się sposobność, odpychać ją dobrowolnie? A powtóre, czyż miał prawo nawiązywać ten stosunek nieprawny, w chwili, gdy się sam przez się rozrywał? W końcu, przy całej poczciwości, niezdolny pojąć szlachetnych i drobiazgowych odcieni uczuć swego syna, pojmując tylko to, czemu wyraźniejszą formę myśli nadać było można, doszedł do przekonania, że kiedy, jak dotąd, miłość ich była tak platoniczną, to widocznie Juliusz nie był dość zajęty panią Valmor! Wniosek ten uspokoił do reszty wszystkie jego wyrzuty. Położył więc list na stolo i zaproponował synowi przechadzkę do Luwru.

— Daruj mi ojcze, lecz doprawdy nie mogę!... —rzekł Juliusz i silnie ścisnął rękę ojca, a wzrok jego osłupiały prawdziwą boleść i rozpacz wyrażał.

Nie będąc w stanie oswoić się z myślą bezpowrotnego rozstania, napisał on do Zuzanny list, w którym obwinia ją o brak serca, właściwy wszystkim egoistkom, powiada dalej, że nielitościwie zabawiwszy się jego miłością, gdy widziała, że już złożył w daninie u jej stóp całe swoje życie, wtedy duma jej zadowolona wolała się otrząść z tego przywiązania, które ciężyć jej zaczynało. Lecz Zuzanna głuchem tylko na zarzuty w tym i następnych zawarte listach odpowiadała milczeniem. W końcu Juliusz i pisać zaprzestał. Postanowił zapomnieć, pomimo, iż z tem bolesnem wspomnieniem urok jakiś się wiązał. Chciał pokazać Zuzannie, że on także zdolnym jest do wzgardy i zapomnieć potrafi.

Rzuciwszy się w wir życia światowego, które go i dawniej nigdy nie nęciło, napróżno szukał w niem lekarstwa. Ta egzystencja bezmyślna i czcza, nie była wstanie zadowolnić jego poważnych zapatrywań, a zamęt i gwar jaki widział w koło siebie, nie umiały wykorzenić smutku z jego serca. Obcowanie z kobietami lekkiemi, pozbawionemi wszelkich lepszych instynktów, było mu ohydnem; nie znajdował w niem przyjemności, bo nie przyzwyczajony do płaskich, zmysłowych roskoszy, nie chodzących w parze w jego wzniosłemi poglądami, nie umiał i w nich znaleść rozrywki jakiej żądał. Wszystko wypowiadało mu służbę, powrócił więc do dawnego trybu życia, z dawną równie bolącą raną i równem rozgoryczeniem!

Pani Valmor nie wracała. Po przebytej zimie w Neapolu, wyniosła się na lato do jakiejś odludnej doliny Oberlandu. Postanowienie unikania Juliusza zdawało się być nieodwołalnem, na nowe bowiem jego listy i zaklęcia, równem jak dawniej odpowiadała milczeniem. Niepozostawała więc już żadna wątpliwość, że wszystko na zawsze było skończone! Poświęcenie to jednak przechodziło rzeczywiście jej siły! Cierpiała nad wyraz, ale wyegzaltowany heroizm, w którym je czerpała, powstrzymywał choć w części jej rozpacz. W sekrecie jednak przed samą sobą, żywiła ona cień jeszcze nadziei, że Juliusz równie skłonny do poświęceń, pozostanie jej wiernym dla samego postanowienia, jakie już był powziął, i że w dniu, w którym ona wolną będzie, znajdzie go takim jak dawniej, równie uległym i kochającego jak wtedy, gdy tyle godzin spędzali przy sobie, niewiedząc, że tak strasznie cierpieć im przyjdzie! Wspomnienie tej szczęśliwej przeszłości, palące łzy z oczu biednej Zuzanny wyciskały, lecz oszukując sama siebie, postępowała tak teraz, by nie dopuścić do możebnego powrotu Juliusza. Powiedzieć też trzeba, że rzeczywiście pani Valmor, żywiąc nadzieję jego wierności, dawała dowód że zna go dobrze. Nie było to przeceniać go wcale! Juliusz należał bowiem do tych ludzi, którzy raz tylko kochać umieją, a oddając się z całą gwałtownością tej miłości, dla której przez całe życie tak wyłącznie się zachowywali, nie są zdolni odrodzić się po niej po raz drugi. Chociaż by więc nawet uznali przedmiot swego przywiązania jako niegodny ich wcale, to serce ich już tak nawykło do niej, że ona znajdując w sobie wiecznie odradzający się pokarm, podobnie do tych roślin zimotrwałych, zaginąć już nie jest wstanie.

Lecz Juliusz prawdziwe przechodził katusze! Miłość ta beznadziejna, z której otrząść się nie umiał, szarpała i pierś mu rozsadzała prawie! Nawet praca umysłowa z którą tak się zrósł i tak ukochał, teraz ohydną mu była, dlatego że pękł łańcuch, który go do życia wiązał i który mu każdą osładzał chwilę.

Po dłuższym przeciągu czasu takich walk wewnętrznych, z wymuszonym wyrazem spokoju i swobody, przyszedł Juliusz do ojca swego.

— Przyszedłem ojcze, by cię uwiadomić, że twe najgorętsze życzenie jest spełnionem, powziąłem bowiem postanowienie ożenienia się w jak najkrótszym czasie. Wybór zostawiam ci kompletnie, wiesz bowiem lepiej odemnie, co dla nas dwóch potrzebnem i pożytecznem być może. Pragnę tylko, by ta wybrana była łagodnego i jednostajnego usposobienia, i umiała znosić, nie cierpiąc zbytecznie, moje zgryźliwe usposobienie i wszelkie inne dziwactwa.

Twarz pana Donné taką rozpromieniała radością, że Juliusz, obojętny już na wszystko, co go osobiście spotkać mogło, mocniejsze jeszcze powziął postanowienie dogodzenia woli ojca.

— Nie przypuszczasz nawet, jaką mi sprawiasz radość! — zawołał pan Donné, ale za chwilę, jakby jakim spó-

źnionym wyrzutem tknięty, dodał znowu: — Czy tylko pewnym jesteś, że to właśnie do szczęścia ci potrzebne? Czy wiesz, że jutro jeszcze to samo pragnąć będziesz?

— Najzupełniej! nic mnie już od tego postanowienia nie zwróci!

— Kiedy tak, to wiesz przecie, że od dawna ułożyłem sobie, iż niema stosowniejszej dla ciebie żony, nad Bertę Miral. Przyznam ci się nawet, że nieopatrznie postąpiłem, bo nie wiedząc co ty powiesz, dość otwarcie mówiłem o tem z jej ojcem. Dlatego mam teraz wszelką pewność, że z łatwością, tak od ojca jak od panny przyjętym będziesz. Czy chcesz bym zaraz jutro zapytał ich oficjalnie?

— Dobrze ojcze. Kiedy już raz się zdecydowałem, to im wcześniej tem lepiej! — rzekł z westchnieniem Juliusz.

Nazajutrz pan Donné wzruszony i uszczęśliwiony, udał się do swego przyjaciela pana Miral. Z zasady unikał wszystkich wstępnych przemówień, uważając je za niepotrzebne, a im drażliwsza była kwestja, tem otwarciej wprost od niej zaczynał, niechcąc narażać się na nieprzyjemności, wynikające często z nieporozumienia.

I teraz też stojąc na progu pokoju pana Miral:

— Przychodzę prosić cię o rękę córki! — zawołał do przyjaciela.

— To ślicznie! — rzekł ucieszony lecz nie zdziwiony pan Miral.— Berta jest w wieku stosownym do zamążpójścia, nie będę więc jej żadnych stawiać przeszkód, a ponieważ obserwowałem ją nieraz, zdaje mi się więc, że się nie omylę, mówiąc, że Juliusz więcej od innych jej się podoba. Cóż jednak pogodziło twego syna z małżeństwem?

— Nie wiem doprawdy! Przyszedł wczoraj i oświadczył mi stanowczo, że pragnąłby już wejść w te więzy, teraz zaś czeka z niecierpliwością odpowiedzi, jaką mu przyniosę!

— Masz moje najzupełniejsze zezwolenie, ponieważ jednak zostawiłem mej córce wolność wyboru, pozwól więc że i ją zawołam, byś wraz z mojem i jej ostatnie słowo powtórzył synowi!

Przywołana Berta przybiegła wkrótce. Było to dziewczę młode, świeże, nie wyglądające na więcej jak na lat 16; tak po jej rysach drobnych i małym wzroście skończonej 20stki dopatrzeć nie było można. Pełna życia, swobody i wesołości, jakiemś dziwnem tchnęła szczęściem. Zdawało się, że ci, co ją otaczali, o wszykich troskach zapomnieć musieli, bo ona nie pozwalała się smucić przy sobie. Całość była dziecinna lecz harmonijna i wdzięczna. Gdy wszedłszy znalazła się w obecności tych dwóch starszych panów, którzy z powagą ją przywitali, rumieniec okrył jej twarz, bo instynktem dziewczętom wrodzonym domyśliła się, po co ją przywołano. Ojciec jej nie mylił się wcale, posądzając ją o pewną skłonność do pięknego Juliusza. Nie wiedziała wprawdzie nawet, czy on ją zauważył, lecz uprzejmość ojca i prawie ojcowskie się z nią obchodzenie, było niejako niemem wyznaniem uczuć syna. Niecierpliwiła się nieraz w duchu, czemu oświadczyny formalne tak się opóźniają, lecz nigdy nie traciła nadziei, że kiedyś do nich przyjdzie.

— Pan Donné — rzekł pan Miral — prosi o rękę twą dla Juliusza! Cóż ty na to, dziecko moje?

— Zgadzam się jak najchętniej! — rzekła Berta śmiało, po bardzo krótkiej chwili namysłu.

Radość ogólną odmalować by trudno! Dwie łzy spłynęły po policzkach pana Donné, a Berta sama nie czując potrzeby ukrywania swego szczęścia, po dziecinnemu prawie je wyrażała. Kochająca i dobra lecz nie egzaltowana, nie miała nawet pojęcia o tych namiętnych miłościach, które w związkach małżeńskich spotkać czasem można. Biorąc tylko wzór z pożycia swych rodziców, marzyła o szczęściu spokojnem, miłości obopólnej bez uniesień i zawsze jednakiej, która polegając na wspieraniu się wzajemnem, ufności bez granic, dawała by rękojmię trwałości, równowagi i cichego szczęścia przy trudach i pracy.

Że piękność Juljusza, jego postawa dumna i szlachetna, oraz wzrok pełen łagodności nie były jej obojętne, to pewnie, lecz przyznać trzeba, że mało kto umiał się oprzeć temu urokowi, jaki roztaczał. Urok ten zdwojony rycerską galanterją, z jaką był zawsze dla wszystkich, zjednał mu więcej serc, jak największa swada, w połączeniu z szczerością i wylaniem. Omylić się też było trudno, sądząc, że to był ideał męża najcichszego, najłagodniejszego, oraz zawsze jednakowego, a ulegając temu przekonaniu, Berta pozwalała rozwijać się swemu przywiązaniu, nie zwalczając go wcale, które wspierane szacunkiem, jaki przyzwyczajona była żywić od dawna dla ojca i syna, wyrodziło się powol w uczucie prawdziwe, stałe i ciche, jednakie na całe życie!

Za to Juliusz, ten bez miłości i jakiegokolwiek entuzjazmu, wchodził w ten związek, na który sam zezwolił. Otchłań jakaś otworzyła się w jego sercu, której nic zapełnić nie było zdolne! Postradał wiarę w ludzi, nadzieję w przyszłość! Zdawało mu się, że życie jego przełamane na dwoje i że teraz igraszka losu tylko sprawia, iż nie żyjąc moralnie, dalej żyć przecież musi! A pierwsza ta życia połowa, piękna i błoga, taki mu żal głęboki za sobą sprawiała, iż drugiej jego części nic rozjaśnić nie będzie zdolne! Żenił się wyłącznie dla tego, by przykuć swą egzystencję tak silnemi węzłami, których nic prócz śmierci zerwać nie będzie mogło. Żona zaś jego nie będzie jednak ofiarą tych egoistycznych celów. Jakkolwiek daleki od miłości, potrafi ją otoczyć opieką, staraniem takiem, że dziecko to, nie zdolne nawet znać jeszcze cierpień życia i przejść moralnych, nie pozna wcale, iż jakaś boleśna przeszłość wykorzeniła miłość z serca jej męża. Zresztą tak dobry i uczynny, czyż nie obdarzy ją wszystkiem, z wyjątkiem gorącej miłości? A tak mając dom, obowiązki, da Bóg może i rodzinę, żonę kochającą i uległą, urządzając swe życie spokojnie i regularnie, będzie miał wolne pole do pracy, która mu milszą stać się będzie mu-

siała i doprowadzi nią do tego, że imię rozgłośne i sławne obije się przecież kiedyś o uszy Zuzanny i choć wtedy może sprawi, iż ona pożałuje chwili, w której odepchnęła człowieka, którego zapoznała i którym wzgardziła!

(Ciąg dalszy nastąpi).

NIEBEZPIECZNA.

(Ciąg dalszy)

Było istotnie w tej chwili jego najsilniejszem postanowieniem, nie myśleć więcej o nieznajomej. Po cóżby zresztą miał się z nią widzieć? Cóżby jej powiedział?... Zdradzać taką żonę jak jego?... Tego anioła, którego zawdzięcza staraniom stryja niezmordowanym!... Ta myśl sama, byłaby już zbrodnią! Dumał nad tem podczas śniadania z żoną, przezierał się w jej łagodnych źrenicach, wiecznie niby w łzie pływających, a tak czule w niego zapatrzonych... Poszedł jednak do klubu, skoro wstali od stołu, aby list napisać, którego przez resztę jakiejś wstydliwości czy uczciwości, nie śmiał w domu zredagować.

„Nie chciałaś mnię pani przyjąć! Dla czego? Nie licz na rezygnacją z mojej strony. Wiem jak się nazywasz i gdzie mieszkasz, pamiętam również rysy twoje. Muszę rozmówić się z panią! Powrócę jutro i spodziewam się, iż mnię tym razem nie wypędzisz. Zawsze jeszcze pokorny wielbiciel.“

R. de Frézel.

Serce biło mu młotem, gdy po raz wtóry u bramy pałacyku zadzwonił. Czy go znowu grzecznie wyproszą? Zrobi awanturę! Gdy w człowieku nawet trochę przeżytym nerwy podrażni ponęta czegoś nadzwyczajnego, gotów popełnić i najwyższe szaleństwo! Wprowadzono go jednak całkiem po prostu do salonu.

— Pan baron raczy chwilkę zaczekać, pani zaraz nadejdzie.

Po tych słowach sługus się oddalił. Był czysto ogolony, zresztą „fizys“ zmięta, bladawa, nic nie znacząca. Salon nie miał również żadnej wybitnej fizjonomji. Urządzony był według mody ostatniej, z przepychem, łączącym się, co się rzadko zdarza, z prawdziwie dobrym smakiem, był jednak sztywny i zimny, jak zwykle pokoje „od parady.“ Raoul czuł się tu obcym zupełnie. Łatwość przyjęcia zbiła go z tropu, chociaż odpowiadała jego życzeniom. Przygotował się do walki zaciętej, a tu drzwi same otwierają się przed nim na oścież. Czyż wszystko skończy się na prostej i pospolitej miłostce?...

W kilka minut jedna z portjer się uchyliła. Lady Karolina stanęła przed Raoulem dumnie wyprostowana, w sukni z brokatu fioletowego, zapiętej pod szyję, z dużą białą kryzą koronkową.

— Chciałeś mówić ze mną panie baronie de Frézel? Oto jestem...

Skłonił się nisko.

— Milady!...

Zatrzymała go w pół słowa.

— Nie nazywaj mnie pan „milady.“ Nie należy mi się ten tytuł, jak w ogóle żaden!... a jednak nie jestem wcale „dzieckiem“, jak pan widzisz.

Usiadła naprzeciw Raoula, oblana potokiem światła, padającego wprost na nią, przez drzwi balkonowe, o wielkich szybach kryształowych. Jej piękność wyzywająca nie potrzebowała lękać się blasków słonecznych!

Zapewne! na „dziecko“ bynajmniej nie wyglądała. Wzrok był głęboki i na wskroś przenikający; brwi w duży łuk wygięte, za najlżejszem ściągnięciem czoła łączyły się prawie na środku, nadając rysom wyraz ostry, prawie tragiczny. Była to piękność w pełnym rozkwicie, nie tyle promienista, ile drażniąca i na zmysły działająca... Raoul się nie pomylił. Istota nie codzienna, temperament namiętny, demoniczny, pociągający ku sobie jakimś nieuchwytnym prądem magnetycznym.

Nie można było oznaczyć wieku tej piękności zagadkowej. Zdawało się, iż wiecznie była i będzie taką samą, jak owe posągi doskonałe, wyszłe z pod dłuta mistrzów, które nie umiemy sobie wyobrazić niekształtną bryłą marmuru.

Podziw Raoula był bez granic. Żaden kompliment pospolity na myśl mu nie przychodził. Odezwał się surowo, niemal brutalnie, gdyż czuł, że będzie musiał walkę stoczyć, i z dziką radością widział się wreszcie na placu boju:

— Otóż... przynoszę pani odpowiedź na jej list...

Uśmiechnęła się szyderczo.

— Wizyta... z musu! Niepotrzebna zresztą, skoro pana pożegnano... Replika nie miała wiele sensu... Może właśnie dla tego... Cóż chcesz baronie!... jestem córką Ewy, ciekawą naturalnie... Dlatego uległam pańskim... pańskim... jakby je nazwać?

— Prośbom usilnym!..

— Niech i tak będzie!... Chociaż co prawda, wyglądały raczej na pogróżki. Oh! nie mówię tego bynajmniej w tonie wymówki. Aby groźba skutek wywarła, trzeba być zastraszoną. Tu zaś nie zaszedł ten wypadek.

Wydęła usta dumnie i szydersko, odsłaniając cokolwiek dwa rzędy ząbków gęstych i ostrych.

— Nie doświadczyłam w życiu uczucia strachu panie baronie... Ale, jak wyżej powiedziałam, jestem ciekawą. List pański zaintrygował mnie naprawdę... Czego pan żądasz właściwie? Jakąż to ważną tajemnicę masz mi pan powierzyć?

Rzucił się niecierpliwie.

— Błagam panią!... Nie drwij ze mnie tak nielitościwie!... Wiesz, że cię pokochałem namiętnie na pierwszy rzut oka... Zgadujesz, że dłużej żyć bez ciebie nie potrafię!...

Znowu uśmiechnęła się ironicznie.

— Doprawdy?!... Ależ zdaje mi się, że żyjesz dotąd najspokojniej z inną... i dla innej?...

— To przecież moja żona...

— Tak!... pańska żona... I przychodzisz pan do mnie, przesyciwszy się już zapewne słodyczami miesiąca miodowego... Mówmy otwarcie panie baronie... Czemu mam przypisać zaszczyt niesłychany, iż raczyłeś sobie przypomnieć ową miłość, która wyglądała mi na ogień ze słomy?... Czyś zarzewie tlejące w popiół zagrzebał głęboko, w chęci rozdmuchania iskier, skoro panu fantazja przyjdzie po temu? Czy wiatr powiał nagle, i przybliżył chwilę przez pana do tej operacji naznaczoną? Czy mam panu złożyć dzięki osobiście, czy tylko uwielbiać traf ślepy?

Mówiła głosem ostrym i podniesionym, nie spuszczając wzroku płomienistego z Raoula. Zdawało mu się, iż te oczy leją mu żywe srebro w żyły, a słowa cierpkie i szydercze biją go niby grad po twarzy. Czuł ogień wewnątrz, a lodowaciał na zewnątrz, tracił zmysły jednem słowem, i nie był w stanie odpowiadać wprost na atak gwałtowny lady Karoliny. Może jednak w tym razie szał namiętny był najlepszą taktyką. Odrzucił więc nagle:

— Dlaczego mi pani tak srogo wypominasz to nieszczęsne małżeństwo?... Myślałem, żeś zniknęła, żeś się na zawsze z Paryża ulotniła... Uwierzyłem, żeś była zjawiskiem, które olśniło mnie na chwilę jak meteor, lecz więcej nie wróci... Ujrzałem przepaść u stóp moich... Zapełniłem ją więc, czem mogłem... Nim się jednak na ten krok rozpaczliwy zdecydowałem, szukałem cię wszędzie... przetrząsnąłem Paryż cały... I dziś dopiero cię odszukuję!...

Głową potrząsła.

— Za późno!...

Krew wzburzona biła falą ognistą do głowy Raoula, resztę zdrowych zmysłów mieszając. Bez wahania, bez zastanowienia, zaparł się Matyldy i czystych roskoszy, których używał z nią w zamku de Gouix.

— Dlaczego za późno?!... Nie jestem że tym samym co dawniej?... Czyż odmieniły co we mnie te słów kilka, wymówione przed ołtarzem?... Cóż znaczy, żem z dzieckiem nieletniem podzielił moje nazwisko?... Nazwisko jest niczem... serce jest wszystkiem, a to dla ciebie w całości zachowałem... dla ciebie jednej!...

— Dla mnie? — szepnęła. — A wiesz że kim jestem?....

Machnął ręką z najwyższą obojętnością.

— Wiem, że cię kocham, i chcę powtarzać ci to jak najczęściej!

Mówiła dalej, jakby słów jego nie usłyszała:

— Jestem kobietą wykolejoną panie baronie... kobietą upadłą... Imię, które noszę, jest zmyślone. Gdybym nie żyła w takiem od świata odosobnieniu, twoi przyjaciele baronie, nie omieszkali by ci powiedzieć, iż „lady Karolina,“ znalazła swoje przezwisko, oddając się rozpuście! Rodzina mnie się wyrzekła, a męża nigdy nie miałam... czyż trzeba czego więcej, aby zgubić kobietę? Jeżeli nie znają listy moich kochanków, to ją ułożą i wymyślą z własnej fantazji.

— Spotwarzasz się pani dobrowolnie... co mnie to wszystko obchodzi?... Czy dla tego mniej cię ukocham?... Czy staniesz się mniej uroczą?... Płomień oczu twoich mógłby w popiół obrócić świat cały, a jeszcze by te oczy czarowne wyszły nietknięte z popiołów...

Mówił z rodzajem namiętnej ekstazy. Pod wzrokiem palącym młodej kobiety, czuł się prawie z więzów cielesnych uwolnionym, wznosił się na skrzydłach w sfery dotąd mu nieznane. Zdawało mu się zresztą, iż jego trawiąca gorączka udziela się i pięknej nieznajomej, gdyż pierś zafalowała pod obcisłym stanikiem, jakby dreszcz przeszedł po jej ciele.

— Co do mnie — słowa jej spadały powoli, z dźwiękiem dziwnym, metalicznym, przenikającym — co do mnie, nie umiem dzielić się z nikim...

Głos zniżyła do szeptu stłumionego, i dodała z wyrazem ponurym:

— Z nikim, chyba ze śmiercią...

Raoul drżący pochylił się ku niej.

— Co pani chcesz przez to powiedzieć?...

I jego oczy świeciły blaskiem fosforycznym, a gdy wzrokiem rzucił na młodą kobietę, podwójna błyskawica zalśniła w ich źrenicach i skrzyżowała się w przestrzeni. Zapanowało głuche milczenie. Przerwała je lady Karolina:

— Chcesz się pan dowiedzieć?... Pójdź więc za mną...

Wprowadziła go do gabinetu, mającego kształt namiotu. Obicie było z atłasu w kolorze pompadour. Na stoliczku nie wielkim, z przepysznej florenckiej mozajki, ze spodem z bronzu, stała szkatułka ze srebra oksydowanego, w stylu angielskim. Na wierzchu leżała wśród kwiatów Ofelja nieżywa. Robota była prześliczna i zdradzała rękę mistrza doskonałego. Podniosła wieko.

— Dwóch ludzi mnie kochało w życiu, panie baronie. Należałam do obydwóch... Oto wszystko co po nich pozostało... Skrwawiona rozeta od krzyża legji i pistolet roztrzaskany!...

Mówiła tonem głuchym i drżącym; czuło się prawdę tragiczną w jej głosie.

— Czyś mnie pan zrozumiał?... Innego podziału nie zniosłabym... Nie myślę grozić... przestrzegam cię po prostu... Przyszedłeś za późno... Trzebaby oddać mi się całkowicie, a pan już sam do siebie nie należysz... Zresztą ciąży na mnie jakaś fatalność! Każdemu, kto mnie pokocha, śmierć w darze przynoszę... Wtajemniczyłam pana w smutne dzieje życia mego... nie żądaj niczego więcej...

Raoul nic nie odpowiedział. Wpatrywał się w młodą kobietę wzrokiem błędnym, chciwym, pożerającym. Zaledwie słyszał słowa ostatnie. Dźwięczały mu tylko w uszach, jak odgłos dzwonu dalekiego wprawdzie, ale potężnego i ogłuszającego. Czar działał. Siła niewidzialna pociągała męża Matyldy do tej kobiety, o której myślał, iż już wymazana z jego pamięci, a która wywierała na niego dalej ów wpływ demoniczny, piorunujący, doświadczony przy pierwszem z nią zetknięciu.

Lady Karolina ręce na piersiach skrzyżowała. Nie

odtrącała, ale też i nie zachęcała nowego wielbiciela, któremu zwierzyła się ze wszystkiem. Czekała, uspokojona szczerem wyznaniem, lub też pewna zwycięstwa, a gdy uczuła na ręce zaciśniętej usta pałające Raoula, przyjęła ten pierwszy pocałunek namiętny a jednocześnie nieśmiały, prawie pokorny, z obojętnością lodowatą fatum nieubłaganego i niewzruszonego, ni łzą ludzką, ni prośbą!...

VIII.

HISTORJA PENSJONARKI W SAINT-DENIS.

Lady Karolina nie odgrywała bynajmniej roli melodramatycznej, zapewniając Raoula o fatalności, która na niej ciężyła.

Turyści, zwidzający w latach ostatnich szczyt Righi, przypomną sobie niezawodnie, iż przewodnicy musieli ich zatrzymywać w pośrodku góry, przed rozpadliną w skale, z pozoru wcale nie straszną i dość nawet pospolitą. Takiemi rozpadlinami, wyścielonemi mchem i innem zielem, mogą się pochwalić góry o wiele niższe, i nie używające bynajmniej sławy tak rozgłośnej. A jednak ta skromna rozpadlina ma nazwę złowrogą: „Grobu pułkownika.“ Dotąd krąży wieść o tym wypadku tragicznym pomiędzy ludnością okoliczną, a tradycja podaje ją przewodnikom z ust do ust, niby dogmat niewzruszony z nauki katechizmowej. Te legendy dramatyczne są istotnie żywą Księgą Świętą dla górskich ciceronów. Przewodnik, który żyje z Gletzerów alpejskich, jak ksiądz z ołtarza, ma także swój rytuał i czcią go otacza...

Otóż 8 sierpnia r. 187... czas był prześliczny, a niebo bez chmurki. Liczne towarzystwo różnorodnej narodowości, pięło się na szczyt Righi pod przewodnictwem dwóch ciceronów. Pomiędzy innymi była i para Francuzów. Staruszek krzepki jeszcze, trzymający się prosto po wojskowemu, z rozetą od krzyża kawalerskiego Legji honorowej w dziurce od surduta, i bardzo piękna młoda osoba.

Dostali się wszyscy na szczyt bez wypadku. Nazajutrz cała karawana wracała uszczęśliwiona i niesłychanie zmęczona, co jest znowu dla turystów szczytem moralnego zadowolenia. Francuzi szli przodem. Miniono już miejsca niebezpieczne, gdy nagle, kiedy się najmniej spodziewano, koń Francuza potknął się na zakręcie, a jeździec z siodła wyrzucony, znalazł się na samym spodzie owej, przedstawiającej się tak uczciwie rozpadliny. Wklęsłość nie była tak wielką, a jednak nie można było zejść bez drabiny sznurowej. Jeden z przewodników poleciał co tchu do oberży w Kulm, aby przywieźć ztamtąd to, czego ratunek wymagał. Przez czas jego nieobecności słyszano głuche jęki wychodzące z rozpadliny. Gdy się w dół spuszczono... było za późno. Martwe już tylko zwłoki wydobyto. Rana w głowie według orzeczeń lekarskich nie była śmiertelną, dwie godziny atoli trwał krwiotok zanim sznury przyniesiono i ten zabił widocznie staruszka.

Młoda osoba podczas tej strasznej sceny klęczała nad brzegiem przepaści, łkając głucho, z twarzą łzami zalaną. Gdy zwłoki ujrzała, łzy otarła i sama dopilnowała przeniesienia tychże do hotelu L., gdzie mieszkała z nieboszczykiem na pierwszem piątrze. W pół godziny może oznajmił jej szwajcar hotelowy przybycie komisarza, któremu polecono spisać akt zejścia.

Urzędnik zadał kilka pytań młodej kobiecie, tyczących się samego wypadku, wreszcie gdy miał zamknąć protokół, dodał od niechcenia:

— Pułkownik Delange był ojcem pani?

Potrząsła głową.

— A więc mężem?...

— I to nie! — odrzuciła kategorycznie.

— Jednak — komisarz rzucił się niecierpliwie — na liście przyjezdnych stoi wyraźnie: „Państwo Delange?“

— Zaszła więc pomyłka — rzekła poważnie młoda osoba. — Nie jestem nawet krewną pułkownika... Nazywam się Katarzyna Vauquelin.

— Jakiej kondycji? — bąknął urzędnik osłupiały.

— Dawna pensjonarka zakładu naukowego Legji honorowej w Saint-Denis, córka nieboszczyka kapitana Vauquelin.

Dodała z tym samym spokojem:

— Pułkownik Delange był kolegą i przyjacielem ojca mojego...

Komisarz wpatrywał się w nią z interesem coraz wzrastającym. Dziwił się i podziwiał jednocześnie. Jako urzędnik policyjny, powinien by się był ostrzelać ze wszystkiego rodzaju niespodziankami, dla Szwajcara atoli i najbardziej okrzesanego, Francuz, a tem więcej Francuzka, będą wiecznie przedmiotem mogącym służyć do nowych odkryć. Młoda kobieta, bledsza niemal od trupa na łóżku rozciągniętego, z suchą źrenicą, pałającą ogniem ponurym, z ustami kurczowo zaciśniętemi, wyglądała istotnie jak sfinks nieodgadniony.

Komisarz zaczął znowu mówić po chwili z widocznem zmięszaniem:

— Czy nieboszczyk miał jaką rodzinę?

— Miał.

— Możebyś pani raczyła wezwać telegraficznie członków najbliższych...

Uśmiechnęła się gorżko.

— Lepiej, żebyś pan to uczynił... Ja nie mam do tego najmniejszego tytułu... nawet...

— Rozumiem! — skłonił się urzędnik — a więc może pani będziesz tak dobrą podać mi adres?

Ręką drżącą napisała słów kilka.

— Proszę!...

Urzędnik wziął świstek i schował do pularesu.

— Pani daruje — rzekł z pewnem wahaniem — ale zostaje mi jeszcze bardzo przykra formalność do spełnienia. Zeznałaś do protokułu, iż nie jesteś wcale krewną pułkownika Delange... W imieniu rodziny

muszę zatem rzeczy pozostałe po nieboszczyku opieczętować... Gdybyś pani raczyła teraz... w mojej obecności... odłączyć to, co do ciebie należy...

Tym razem pierś Katarzyny Vauquelin podniosła się łkaniem bolesnem.

— Prawda!... jestem tu obcą zupełnie!...

Wskazała ręką kuferki i kufry, porozkładane w drugim pokoju.

— Chciej pan sam to załatwić... poznasz przecie i odróżnisz rzeczy kobiece...

Podczas opieczętowywania klęczała u stóp łóżka, łkając głucho. Gdy formalności dopełniono, odwróciła się do komisarza i rzekła tonem stanowczym:

— Rodzina zdąży ledwie na jutro wieczór... Pragnę noc przy zwłokach spędzić... Wyjadę jutro do-dnia pierwszym pociągiem...

Komisarz skłonił się w milczeniu i wyszedł. Za chwilę atoli weszła stara kobieta, rodzaj posługaczki szpitalnej i usiadła w kącie pokoju.

Miała widocznie pilnować nie tyle umarłego, ile Katarzynę. Szwajcar może okazać się ugrzecznionym w obec pięknej Francuzki, urzędnik jednak na całym świecie musi być ostrożnym. Młoda kobieta wyszła zresztą z tej próby zwycięzko. Pilnująca opowiadała nazajutrz, iż nieznajoma spędziła noc całą na kolanach, modląc się i płacząc rzewnie. Do-dnia, jak przyrzekła, odjechała panna Vauquelin.

Chociaż ojciec tajemniczej nieznajomej, kapitan Vauquelin, nie zostawił imienia głośnego w księdze złotej armji francuskiej, nie ma jednak wątpliwości, iż miał po temu chęci najlepsze i pragnął z duszy całej zostać sławnym bohaterem. Pani Vauquelin każdego najuroczyściej o tem zapewniała, a któżby śmiał jej nie wierzyć? Wyszła przecież za mąż nie tylko z miłości, ale i przez wzgląd na wysokie w przyszłości męża stanowisko. Miał dość wiadomości technicznych, jak na owe czasy. Ogół oficerów uważał wtedy, co prawda, wszelką naukę, jako jeden więcej tłumok podróżny, wiszący spokojnie na kołku, a który spakuje się dopiero w chwili, gdyby na wojnę iść wypadło. Dawny wychowaniec z Saint-Cyr, Vauquelin czekał nadaremnie przez życie całe, aby trochę sławy przylgnęło do jego munduru. Szlifom przybywało wprawdzie buljonów, te jednak stopnie, zyskiwane przez protekcję, siedząc wygodnie za piecem, przypominały karafioły rosnące i kwitnące w mokrym piasku i w cieniu murów piwnicznych. Są zwykle blade i bez smaku. Tak samo tytuły Vauquelina nikogo olśnić nie mogły. Został wreszcie kawalerem legji i... poszedł w odstawkę. Jaka krwawa ironja!

Nie wiodło bo się okopnie biednemu kapitanowi. Trzy razy pułk jego mógł się okryć chwałą, rozwinąwszy sztandary, i zawsze zatrzymano go na pierwszym popasie. W porcie tulońskim, podczas wojny włoskiej; w Oranie, podczas wielkiego powstania algierskiego; wreszcie w Vera-Cruz, na samym początku wyprawy meksykańskiej. W roku zaś 1870, w przededniu wojny Prusom wydanej, przysłano mu, jak wyżej wspomnieliśmy, krzyż kawalerski razem z dymisją. Ministerstwo wojny uznało kapitana nieudolnym nawet w czasie pokojowym, a cóż dopiero na placu boju!

W kilka miesięcy po tem przejściu przymusowem w stan cywilny, eks-kapitan umarł na atak podagry, i to właśnie w chwili, gdy jego od serca przyjaciel, pułkownik Delange, szef dywizji w ministerjum wojny, osobistość wszędzie tolerowana i umiejąca wśliznąć się w sfery najróżnorodniejsze, gdy tedy ów przyjaciel, wyrobił mu był synekurę wcale intratną, przy jakiemś nowem towarzystwie Ubezpieczeń.

Dama Fortuna, ta szkaradna obłudnica, odwróciła się od Vauquelina w ostatniej życia godzinie, tak samo jak się odwracała na różnych stacjach i przestankach, lat młodości i wieku dojrzałego.

Poczciwa pani Vauquelin, przestała już była oddawna wierzyć w uśmiechy damy Fortuny, którąby chętnie była jako rywalkę przyjęła. Uwielbiała zrazu pięknego oficerka, i spodziewała się dla niego co najmniej laski marszałkowskiej. Z latami, miłość w niej co prawda nie ostygła, znikały atoli jedna po drugiej słodkie ułudy, co do męża przyszłej wielkości.

Chwacką tę Bretonkę Vauquelin poznał i poślubił, stojąc garnizonem w mieście Vannes. Wniosła mu czterdzieści tysięcy franków posagu; sumka wcale pokaźna dla oficerka bez grosza. Zresztą była to kobieta dość ograniczona, pracowita do upadłego, i potrzebująca mieć zawsze jakieś bożyszcze, do uwielbiania i podziwiania.

Z męża przeniosła uwielbienie na pułkownika Delange, którego, mimo różnicy w hierarchji wojskowej, jakieś węzły tajemne łączyły z kapitanem. Odgadła, iż osobistość stojąca tak wysoko, może jedynie zażegnać fatalność ciężącą na jej mężu, i zmartwiła się podwójnie, gdy śmierć nagła Vauquelina, obróciła w niwecz najlepsze chęci przyjaciela. Zachowała jednak dla pułkownika rodzaj wdzięczności pełnej uszanowania, i owdowiawszy wezwała go na radę familijną, która miała rozstrzygać o przyszłych losach Kasi.

Panna Vauquelin była wtedy rozwiniętym nad wiek wyrostkiem czternastoletnim; wychowana na chybił trafił, pomiędzy matką nader ograniczoną, a ojcem zgorzkniałym i na wszystko obojętnym. Vauquelin sprzeciwiał się zawsze, nie podając przyczyny, umieszczenia jedynaczki w Saint-Denis, zakładzie naukowym, otwartym dla córek Legjonistów. Była to „czernioszka“ z okiem promienistem, już dziś nader ponętna, a obiecująca w przyszłości jeszcze więcej.

Trzymał ją zapewne przy sobie, w nadziei lepszej przyszłości.

Żona nie śmiała mu się sprzeciwić. Zresztą i ona niechętnie byłaby się rozłączała z Kasią, z której dumną była, i w której podziwiała żywe odbicie pięknego porucznika Vauquelin. Teraz atoli trzeba się było na coś zdecydować.

Vauquelin grosza nie zostawił. Posag żony roz-

trwonił powoli. Rodzinę całą składał pan Vauquelin *Junior* (jak siebie sam nazywał) urzędnik w ministerjum spraw wewnętrznych, który zestarzał się na posadzie podrzędnej, zatrzymany w awansie przez mezaljans niefortunny ze swoją praczką. Była to dziewczyna świeża, ładna i nader zręczna. Raz go złapawszy, sprawiła mężowi nie lada niespodziankę. Nie tylko z milutkiej, obleśnej, nadskakującej koteczki, przemieniła się w Ksantypę najgorszego rodzaju, skąpą i chciwą nad miarę, ale nawet fizycznie zmieniła się nie do poznania. Jak pączek rumiana i pulchna przed ślubem, po ślubie w lat kilka została suchą, zawiędłą łodygą, żółtą i pomarszczoną, jak jabłko na Wielkanoc.

Był jeszcze ojca siostrzeniec, Alfred Guyon, biuralista w jakimś banku, ten był atoli nadto młodym, aby go do rady przypuszczono. Stryj był nadzwyczaj przeciwnym umieszczaniu Kasi w Saint-Denis, przystał jednak na ten projekt, skoro bratowa zapytała go kategorycznie, z miną wyzywającą: „Czy myśli płacić za edukację Kasi, w domu prowadzoną?“

Ta jednak stryja rezygnacja, była pełną żółci i zjadliwości, w przewidywaniu przyszłych losów Kasi.

Pułkownik Delange, który pierwszy projekt podał, zajął się też gorliwie tegoż urzeczywistnieniem.

— Kasia powinna odebrać wychowanie stosowne do stanowiska, które ojciec jej zajmował w społeczeństwie — perswadował wdowie.

Ta zaś wierna swojemu popędowi, do uwielbienia bałwochwalczego bądź kogo, odpowiedziała:

— Święta prawda! Kasia zajdzie daleko. Nie znajdujesz pan, iż ma całkiem ojca oczy?

Ta piękność, której czar działał już tak wcześnie na matkę, miała rozwinąć się w całej pełni w sztucznej i gorącej atmosferze zakładu w Saint-Denis. Kasia porzucała ze strachem ognisko domowe. Myślała, iż dostanie się pod zarząd surowy, gdzie panuje ład i karność wojskowa. Czekała ją pod tym względem najmilsza niespodzianka. Dom w Saint-Denis wyglądał raczej na salon modny, niż na instytut naukowy.

Co do nauk ścisłych, panna Vauquelin stała na równi z najstarszemi, gdzie też ją umieściła protekcja wszechpotężna pułkownika Delange. Pozostawały jej tylko talenta salonowe do ćwiczenia. Zrazu — jak to mówią — chwyciła się nauki rękami i nogami, okazując w każdym kierunku zdolności znakomite.

Gdy atoli uczuła się zmęczoną, gdy zapragnęła kosztować tylko naukę kiedy niekiedy, jak się zjada deser po obiedzie, nikt jej do pracy nie napędzał, i zostawiono ją w zupełnym spokoju.

Nowa i jeszcze milsza od pierwszej niespodzianka! Zrazu imponował jej trochę, ton na wysoki kamerton nastrojony, którym najdawniejsze w zakładzie do młodszych przemawiały. Starała się dostroić i swoją mowę do tego patosu. Gdy po jakimś czasie zmęczyła się tym nastrojem, i zeszła z wyżyn niedostępnych na ziemię poprostu, przekonała się z zadowoleniem, że i tamte starsze towarzyszki, przyjęły na czas jakiś rolę, która im ciężyła.

Obok córek jeneralskich były i panny takich ojców, jak Vauquelin, których żony same prały i gotowały, aby tylko mężom na mundur galowy wystarczyło. Niskość pochodzenia przebijała u niejednej w mowie i w ułożeniu.

Zdaleka cała scenerja olśniewała. Dyrektorka, przepasana wielką wstęgą Legji, damy przewodniczące, udekorowane krzyżami, elewki na klasy podzielone, powiewające również wstęgami różnobarwnemi, wszystkie te akcesorja na oko imponowały, w gruncie jednak edukacja, wystarczająca jeszcze pannom bogatym, dla ubogich była zgubną.

Część większa przyjaciółek Kasi, Irma, Łucja, Franciszka, miały za posag jedyny piękne oczka i wychowanie najniepraktyczniejsze, które w zakładzie odbierały.

Rozmowy pensjonarek nie były wcale budującemi. Obracały się one wiecznie w kole zaklętem nader świetnych przeznaczeń i awanturek miłośnych, które im miała zesłać Opatrzność, w guście Pawła de Kock'a. Do tej też bogini dobroczynnej wznosiły prośby gorące, podobniusieńkie jedna do drugiej, i natchnione dziwnie naiwnym cynizmem. Pod gładką powierzchnią edukacji czysto salonowej, ukrywały się marzenia natury na wskroś, prawie aż do wstrętu realnej. Lordowie lub bojarowie, książęta krwi, czy też nadzwyczaj bogaci giełdowicze, wszyscy plątali się razem, wirując po główkach rozmarzonych, i tworzyli rodzaj wieńca, rodzaj świetlanej aureoli do romansów pełnych intryg, zawikłań, protektorów dyskretnych a wspaniałomyślnych, którzy mieli usidlić ich młode serduszka deszczem złotym, jak Jowisz uwiódł Danae.

O niczem innem nie rozprawiano w ścisłem kółku Kasi przyjaciółek, jak tylko o sztuce czarowania na pierwszy rzut oka, o tajemnych prądach magnetycznych, o chwytaniu serc męskich na wędkę wdzięków i zręcznej kokieterji, o życiu roskosznem, wśród przepychu książęcego, pod gradem pereł i brylantów. Tymczasem czekając na coś lepszego, przyciskały dłonie rozpalone do serc bijących, i oczy przymykały, aby dłużej śnić i roić obrazy świetnej przyszłości, wywołane i zrodzone w ich bujnej fantazji.

Nigdy w ich młodej wyobraźni nie pojawił się obraz cichego szczęścia domowego, życia w codziennych warunkach obowiązków żony i matki. Dozorczynie nie domyślały się na pewno, rozkołysania namiętnego i wybryków bujnej fantazji elewek, ich pieczy powierzonych. Pomiędzy damami przewodniczącemi była jedna bardzo jeszcze młoda, Blanka d'Aligny, córka pewnego komendanta d'Aligny, który zginął na placu boju, okryty ranami i po wyżej uszów obdłużony. Blanka, dawna uczennica zakładu, ujrzawszy się nagle sierotą i bez utrzymania, zgłosiła się do Saint-Denis, prosząc o miejsce nauczycielki.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Redaktor-Wydawca: W. Maniecki.